

Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

Biuro gal. Towarzystwa łowieckiego: ulica Jagiellońska l. 3, II. piętro.

Z życia wilków karpackich

skreślił

Jan Marcinków

delegat pow. dolińskiego.

(Ciąg dalszy).

Fura wracająca wieczorem od kolei, spłoszyla „jegomościów" od podwieczorku, łanię zostawiły i podążyły do tuż niedaleko stojącego barana zatrutego — ale chyba tylko po to, aby ów eksperyment pooglądać, śnieg naokoło porozdrapywać — a skropiwszy miejsca jakoby na znak, że to coś „niesamowitego" — poszły za świeżą łanią. Ku wiośnie jednak, kiedy śniegi już prawie na dobre stajały — a jeleni już nie tak łatwo było im chwytać, zagościła „mamusia" z „dziatkami" do barana — no i przecież się zdecydowała go skosztować — porwała go tedy na bok i jakie 50 kroków od miejsca gdzie stał, wyszarpnęła kawałek, który wystarczał, aby ją uspić snem twardym na wieki.

„Sierotki" — zaś w liczbie dziewięciu, pozostały bez opieki, a widząc groźną śmierć „mamusi" — stroniły już od barana, jak dyabeł od święconej wody.

Gdy widziałem, że wszystkie moje środki, aplikowane do zwabiania wilków, pozostają bez skutku, wziąłem się do innego fortelu, — a mianowicie do kapsułek.

Skoro znalazłem gdzie rozdartą łanię, nie zatruwałem jej, tylko nakrajałem po kilkanaście sznycelków, wielkości kułaka i porozrzucawszy je dokoła rozdartej łani, w niektóre włożyłem kapsułki z strychniną, a te znakomicie działały.

Kapsułki owe robiłem z stearyny w ten sposób, że rozpuściwszy świecę Millyego w naczyńku, wtykałem w nią kołeczek grubości palca, wpierw namaczany w wodzie, następnie kilka razy w stearynie — w ten sposób robi się kapsułeczka nader krucha, którą napełnia się strychniną, a potem zalewa znowu stearyną.

Kapsułki takie wkłada się w kawał rozciętego mięsa i pozostawia się pomiędzy rozrzuconymi, niezatrutymi kawałkami.

Wilk pochwyciwszy jeden, drugi a może i trzeci kawałek niezatrutego mięsa, chwyta w swej żarłoczności i kawał z kapzułką, połyka lub rozgryza, a wtedy cel osiągnięty.

Czasami wilki i z takimi ochłapami grymaszą, głównie eśli są dobrze nażarte; natedy i ten modus pozostaje bez skutku, bo nim wilk znowu kiedy zagości do tego miejsca, to albo sojkl już ochłapy rozdziobią, albo one się zepsują.

Swoją drogą, że tego rodzaju ochłapy mięsne, można rozkładać tylko wtedy, jeśli mięso nie jest zamarznięte i wogóle niema silnych mrozów, bo w takiej porze nie da się mięso krajać, a tem mniej kruchą, stearynową kapsułkę z strychniną wpakować w ochłap.

Nim jednak zredukowałem ową zgraję 10 wilków do trzech, mam do zaznaczenia kilka oryginalnych wypadków.

Pozostała pierwotnie para starych wilków t. j. wilk i wilczyca wpadły były 15. marca 1898 do oddziału lasu zwanego „Hłuboki“ — a ponieważ w tym roku dosyć wcześnie zaczęły śniegi tajać, w szczególności na południowych stokach gór, więc tamże i jelenie przeważnie się trzymały i żerowały, — nocą zaś chwytał silny mróz około 14^0 — R. tak, że pozostały śnieg w ten sposób zamarzł i wilki mogły po wierzchu chodzić, jelenie zaś załamywały, się; — trzeba jednak wiedzieć, że na północnych stokach gór śnieg wcale jeszcze nie tajał, a dochodził naówczas do dwumetrowej wysokości.

Para więc tych wilków zapędziła z południowego stoku 14 łań w potok, a biedactwa te w popłochu chcąc się ratować ucieczką, poczęły umykać na północny stok góry starego porębowiska, naturalnie że pozapadały się po brzuchy, a wilki z łatwością dopędziły ich i sztuka za sztuką pozacinały, tak, że w przeciągu krótkiej chwili wszystkie 14, mówię czternaście łań, padły ofiarą rozbestwionych żarłoków, przyczem muszę zaznaczyć, że wszystkie były cielne, zatem padło ofiarą właściwie 28 sztuk.

Był to obraz rzeczywiście straszny, o pomstę do nieba wołający, — ratunku jednak nie było, wilków nie można było odszukać.

Zatrułem więc wszystkie łanie, które leżały prawie do lata, a wilki ich więcej już nie tknęły. — Dla jednej łani zabrakło mi już było strychniny, wobec czego szyję i głowę pozostawiłem niezatrutą. — Dopiero w maju zdecydowały się wilki ją ruszyć, jednakowoż tylko na to, aby szyję i głowę zeżreć, a resztę zatrutego ścierwa pozostawić nietkniętem.

W pewnym oddziale, zwanym „pod Szezowną“ spotkałem rozdartą łanię, zatrułem więc resztki.

W kilka dni później poszedłem odwiedzić moją pracę — niestety zastałem resztki zupełnie nietknięte, — w chwili jednak, kiedy zamierzałem wracać do domu, usłyszałem naraz tak piekielne jakieś, nadnaturalne, wściekłe głosy, zmieszane z wyciem — iż myślałem, że znajduję się w pobliżu piekła, — a to wilki w ilości 10 zawyły naraz.

Wilk stary wyje przeciągłym, grubym głosem, jakby ktoś w jaką tubę trąbił, młody wilk podobnie wyje, jak pies, suki zaś szczekają w przeraźliwy sposób, zmieniając głos na jakieś dziwne warczenie i skomlenie, że gdy taka banda złożona z 10 sztuk naraz zaintonuje swój hymn, robi się straszna, piekielna wrzawa.

Wsłuchując się lepiej w głosy tej orkiestry poraz pierwszy w życiu — poznałem naturalnie głosy wilków, jednakowoż zdawało mi się, że zgraja ta musi liczyć najmniej 50 egzemplarzy. — Jakie uczucie owładnia w takiej chwili człowieka oddalonego od domu dobre 3 godziny chodu w głębokich śniegach, wpośród dzikiej puszczy leśnej — może sobie łaskawy czytelnik wyobrazić!

„Odwaga jednak zdobi młodzieńca!“ Tu nie było czasu dużo się namyślać, odciągnąłem kurki, oglądnąłem się wstecz i na boki, czy wilki nie wyskoczą gdzie z nienacka na człowieka, pomaszerowałem wprost na te cudne głosy, których akordy brzmiały przeszło kwadrans!

Postępując więc ostrożnie w sposób opisany za głosem wilków, zacząłem się zbliżać czem raz dalej ku domowi, tak że wreszcie przyszedłem do domu, nie spotkawszy ani śladu wilków, ani też nie usłyszawszy więcej wielce sympatycznych głosów.

Przybywszy do domu, zapytuję czy nie słyszano strasznej „Sodomy i Gomory“ wilczej — a otrzymawszy przeczącą odpow.edź, podążyłem czemprędzej do strażnika lasowego, ażeby wraz z nim zjednoczonemi siłami wyprawić się na polowanie.

Po jednogodzinnym marszu do góry uboczą lesistą, gdzie wilki poprzednio wyły, usłyszałem je znowu ze zdwojoną siłą głosu, ku memu niemałemu zdziwieniu na przeciwnym szczycie, do naszego pochodu. W tej chwili więc zawróciliśmy, aby się jak najprędzej spuścić w dół i podejść ku wilkom. A że to się działo już ku schyłkowi wieczora, było to dość trudne zadanie, tem bardziej, że wilki wyły w wysokości jakich 600 m. nad poziomem kotliny, a w głębokich śniegach wydrapać się na taką górkę, nie tak łatwo, — jednakowoż postanowiłem na każdy sposób popróbować szczęścia, by przynajmniej zobaczyć tę zgraję. Za godzinę podeszliśmy dość wysoko, jednakowoż śladu wilków nigdzie nie spotkaliśmy.

Gdy już po pewnym czasie zaczęła mnie bezowocowa mitręga po śniegach niecierpliwić, postanowiłem próbować wyć i udawać orkiestrę wilczą, naturalnie tylko w duecie.

Po kilkukrotnem bezskutecznem wyciu postanowiłem wracać do domu, gdyż już wieczór się zbliżał, a po ciemku zdybać się ze znaczniejszą bandą wilków, nie miałem jakoś najmniejszego gustu. — Wtem patrzę, ze szczytu góry sypie banda wilków w susach jak owce spłoszone — naliczylem ich 10 sztuk.

Siedm sztuk oderwało się i podążyło w susach gąszczami na dół, rozskakując się w różne kierunki, jak plenklery w czasie musztry wojskowej, trzy zaś wilki poczęły walić uboczą wprost na nas; gdy już były od nas na jakie 500 kroków, przybiegły do nich moje 2 jamniki i skoro zobaczyły wilki na przeciwnej uboczy, poczęły szczekać ku nim biegnąc, — będąc jednak w strachu, że wilki rozszarpią mi pieski, począłem świstać, — świst mój wilki jakoś zmieszał, tak że zatrzymały się na chwilę, zawróciły trochę w górę i posiadały jak psy, obserwując, co jest podejrzanego.

(C. d. n.)

ALEKS. REICHARDSPERG REICHARD.

Wspomnienia z polowań na rogacze.

Tam za oknem charcze i wyje wicher i gdy zda się, że ta straszna, obecna zima już kończy swe panowanie, to znowu roztacza biała, bezlitośna pani swój śmiercionośny welon, nowe tumany śniegu, zda się z niewyczerpanego źródła spadają na zamarzniętą ziemię. Mimowoli na myśl przychodzi ta biedna nasza zwierzyna a zwłaszcza sarny i kuropatwy. Że stan ich został już co najmniej zdziesiątkowany, to nie ulega dziś niestety wątpliwości. Wśród tych niewesołych refleksyi, utrapiony wzrok pociesza się przynajmniej tem, co było. Na ścianach zawieszone rogi sarnie w świetle lampy przybierają przez wzajemnie rzucane cienie, fantastyczne rozmiary i kształty. Ileż to dni upływa, że ani wzrok, ani myśl na pamiątkach tych się nie zaczepia — ale dzisiaj, w tej wieczornej zaciszy i przy tej muzyce tam za oknem, wspomnienia siłą nalatują.

Szczególne, chociaż po części zrozumiałe, że przeważnie wspomnienia okoliczności, w których ubite zostały okazy lepsze, pozostają wyraźniej w pamięci. I moje też, dzisiaj kreślone obrazki odnoszą się tylko do kilku lepszych rogaczy.

W roku 1901, 19. maja wyjechałem po południu z leśniczym rewiru S.—p. Ch. na rogacza. Po dosyć długiej jeździe wśród zrębów, na których tylko kilka kóz spotkaliśmy, zbliżamy się do granicy lasu. Przy tej części granicy rozciągały się duże łąki. Gdy wózek wychylił się tylko z ściany lasu, roztoczył się przed nami wspaniały widok. Oto w rudlach po kilka sztuk i pojedynczo, leżało kilkanaście sztuk sarn, a tylko dwie kozy żerowały. Zjawienie się nasze spowodowało zaniepokojenie sarn, przybrały pozycyę „baczność“ t. j. wydłużyły się karczki a łyżki ustawiły jak skrzydła nietoperzy. Powoli sarny zaczynają wstawać i wtenczas zobaczyłem na środku łąki w rudlu z czterech sztuk złożonym, dobrego rogacza. Miałem drylling z expresową lufą, i chociaż strzał na odległość około 130 kroków wydał mi się dość ryzykowny — strzeliłem do rogacza, stojącego na trochę skośny połeć. Po strzale zdawało mi się, że rogacz wykonał korpusem tylko nieznaczny ruch wahadłowy, lecz z miejsca się nie ruszył, dopiero gdy po kilkunastu sekundach inne sztuki pomykać poczęły i on między niemi ruszył i przeskoczył rów około 120 m. szeroki i wpadł w odległą około 100 kroków kulturę sosnową. Zapytany p. Ch. o zdanie co do strzału, odpowiada, że rogacz niewątpliwie chybiony. Z wydłużonym nosem, milcząco siadam na wózek, nawracamy i jedziemy z zamiarem dostania się jeszcze na zręby. Zaczynam spokojnie analizować każdy szczegół. Ten ruch wahadłowy rogacza tak niezawodnie zaobserwowałem, i wydało mi się, jak by kto pchnął rogacza a ten po wychyleniu się, napowrót wrócił do dawnej pozycyi. Żal mi się robi, że oddalamy się od tego miejsca i chociaż słońce już zachodzić poczęło i już najmniej dwadzieścia minut drogi od tego miejsca odjechaliśmy, oświadczam panu Ch. że ten rogacz nie był chybiony i wrócimy, aby przeszukać chociaż najbliższe otoczenie.

Pospiesznie wracamy na łąkę gdzie już tymczasem kilka sztuk wyszło i spokojnie żerowało, schodzę z wózka, sam idę w miejsce, gdzie stał rogacz — na zwiędłej trawie i mchu — nic nie widać i idę mniej więcejw kierunku, w którym rogacz poszedł. Przeskakuję ów szeroki rów i wchodzę w kulturę, rozglądając się oczywiście bacznie naokoło. Po kilkudziesięciu krokach widzę przedemną rzedniejącą kulturę i zaczyna się mała, jakie 80 kroków szeroka łączka. Ostrożnie wychylam się na kraj, wtem na drugiej stronie spostrzegam ogromnego rogacza, leżącego do mnie na sztych. Zobaczył mnie i ma minę: „jeden skok i tyleś mię widział.“ Na szczęście byłem już złożony i właśnie gdy tył zwodził do powstania, uderzyła w niego moja kula. Zrobił jeszcze kilka skoków i padł. Rozegrało się to w kilku sekundach, a byłem pewny, że mam innego rogacza przed sobą. Jednak już pobieżne oglądnięcie strzałów wykazało, że to ten sam rogacz, bo pierwsza kula weszła nieco nisko poza komorą a pozostała na lewej łopatce, druga zaś — szczęśliwa rzeczywiście — weszła na sztych a oparła się aż na krzyżu. Dobry to rogacz, 27 cm. szeroki, z długimi końcami, regularny szóstak, wagi 285 gm.

Gdyby nie rodzaj natchnienia, które kazało mi się wrócić, byłby rogacz ucieszył tylko lisy.

W lipcu 1904 wyjechałem do rewiru B. aby strzelić do rogacza. W tym rewirze prawie nikt nie polował, dla tego tem bardziej miałem nadzieję na spotkanie czegoś lepszego. Przed wschodem słońca, wśród mgły, wyjechaliśmy z domu. Celem naszym były oddalone znacznie zręby, więc spieszyć się trzeba było. Gdy do zrębów dojeżdżaliśmy, zaczynało właśnie wschodzić, mgła się rozsnuła a zakrywała tylko oparem niższe miejsca. Konie zwolniły tempa, a że możliwe było spotkanie sarn po obydwu stronach, towarzysz mój wziął pod uwagę stronę lewą, a ja prawą. Już dojechaliśmy do połowy zrębów, gdy ja po mojej stronie spostrzegam na jakich 150 kroków grzbiet sztuki żerującej w jakiemś zagłębieniu. Bez zatrzymywania koni zeskakuję z wózka i podchodzę, kryty jedyną brzózką. Znalazłem się wreszcie przy niej, odległość do tajemniczej sztuki wynosić mogła około 110 kroków. Przyklęknąłem, aby się lepiej zakryć i wpajam szkła w powoli posuwający się grzbiet. Do tej chwili nie widziałem głowy i wogóle nie wiedziałem, czy to rogacz czy koza. Grzbiet posuwa się ciągle, pozycya moja klęcząca staje mi się coraz niewygodniejszą.

Wtem — szybkim ruchem podnosi się głowa, i w binoklach widzę przepyszne rogi, grube jakieś na końcach i zarzucone w tył. Po chwili głowa niknie znów w zagłębieniu. Zaczyna opanowywać mnie emocya, słyszę bicie własnego serca Co się stanie? Ile to niespodzianek może podobna sytuacya spowodować. Mam doskonałego rogacza na strzał, a strzelić nie mogę, bo widać tylko grzbiet. Gdy rogacz tak dalej posuwać się będzie, wejdzie za chwilę do grupy olszyny, gdzie go już wcale nawet widział nie będę. Myśl ta o możliwości nie przyjścia do strzału, myśl że coś bardzo cennego mogę raz na zawsze utracić — rozkołysowywa nerwy już i tak oczekiwaniem rozbujałe — do szczytu. W tej chwili rogacz w całej okazałości wychodzi z rowka i staje na szerokość. Wiedziałem, że chybię. punkt w lunecie wykonywa najrozmaitsze obrotowe figury — ściągam cyngiel. W tym momencie dzieje się coś nadzwyczajnego. W strzale czuję, że mi coś pękło w sztućcu, lecz cała uwaga zwrócona na rogacza. Ten sadzi wprost na mnie i staje na sztych, na jakie 60 kroków a patrzy poza siebie. Nie było chwili do stracenia — miałem drugą lufę nabitą — składam się, coś tam dziwnego na szynie, lecz oko spotyka przecież wizer, muszkę i pierś rogacza, pada strzał a rogacz po pierwszym skoku dęba, z szyją i głową na dół, po szalonych kilkunastu susach wali się

mi prawie pod same nogi. Teraz był czas na ochłonięcie. Pierwsze spojrzenie oczywiście na rogi. Przeszły moje nadzieje; forma niezwykła bo króciutkie końce zlewają się, w pniu głównym w zgrubienia maczugowate. Róg zdrowy i gruby (waga 360 gr.). Teraz spojrzałem na sztuciec. Lunety nie było — pozostały tylko pierścieniowate obsadki. Przy pierwszym chybionym strzale odlutowała się luneta i dla tego wizura przy drugim strzale taka dziwna mi się wydała. Druga kula weszła przy mostku i została we wnętrznościach. (C. d. n.)

Tokowisko głuszców w Tatrach.

Nasze okolice tatrzańskie, jak powszechnie wiadomo, nie obfitują wcale w liczną rzeszę drobnej zwierzyny podlejszego gatunku, jednak mają i one liczne powaby dla zawołanych myśliwych. Nie rzadko spotkać się tu można z potężnym niedźwiedziem, dość licznie reprezentowany tu jest ród dziczy, pośród rogaczy trafiają się okazy istnie królewskie, a w ostatnich czasach coraz bardziej rozmnażają się jelenie, tak że w lasach Zakopańskich i Połonińskich już ich wcale; pokaźna liczba się znajduje. Dla prawdziwych jednak amatorów wytwornych wrażeń myśliwsko-artystycznych, dostarczają Tatry rzadkich rozkoszy w porze wiosennej na tokowiskach głuszców, zwanych przez górali „głuchoniami“.

Mieszkając od niedawna w tych stronach, dopiero pierwszy raz w tym roku, miałem sposobność wybrać się na toki.

Miałem już kilkakrotnie sposobność polowania na toku na cietrzewie i chociaż i tok cietrzewi jest jednym z ładniejszych rodzajów polowań, to jednak porównania żadnego wytrzymać nie może z przyjemnością, jakiej doznaje myśliwy, na toku głuszców, wśród najcudniejszej panoramy naszych gór.

Korzystając z łaskawego zaproszenia Pana Michała Struszkiewicza, mającego polowanie w lasach fundacyi Witowskiej, wybrałem się wraz z dwoma towarzyszami, dnia 4. maja na tok do Witowa. Nad całą naszą ekspedycyą jednak zawisło dziwne jakieś fatum i pech zdawał się być zapewnionym i doprawdy dziwię się mocno, że skutek przynajmniej co do mej osoby, był tak pomyślny.

Przybywszy pod wieczór do Witowa, spostrzegamy z przerażeniem, że jeden z towarzyszy p. M. zapomniał kuferka na stacyi w Czarnym dunajcu, w którym miał niezbędne rzeczy, potrzebne do przebrania się na wycieczkę w góry. Po długich poszukiwaniach (jako w porze robót polnych) znajdujemy górala, który podejmuje się pojechać po kuferek do Czarnego dunajca, odległego o jakie 14 klm. Tymczasem mając jeszcze dość czasu do chwili wyjazdu do lasu, rozlokowujemy się w nader czyściutkiej restauracyi wiejskiej pani Górskiej i zjadamy z apetytem bifsteki i omlety, którymi by się Grand Hotel krakowski i Imperial lwowski zupełnie nie powstydził. Czas skracamy sobie słuchaniem gry na harmonijce, którą nas dwie córki gospodyni (nawiasem mówiąc wcale ładne) zabawiają.

Nadchodzi pół do 12-tej, najwyższy czas wyjazdu do lasu, dokąd jeszcze z mila drogi a tu naszego posłańca jak niema, tak niema. Zwabieni dźwiękami harmonii, schodzą się różni górale i przez otwarte okno słyszymy, jak na ganku „rajcują“ nad naszą ekspedycyą i co chwila któryś wtyka przez okno głowę do pokoju i radzi nam, byśmy się wcale nie wybierali do lasu, gdyż na miejsce tokowiska ani mowy nie ma, żebyśmy doszli, z powodu ogromnych jeszcze śniegów. Nie zrażeni temi radami, postanawiamy bądź co bądź nie czekać na posłańca i jechać do lasu, a ponieważ mrozik zaczyna brać, decydujemy się pożyczyć dla p. M. „kapci“ od którego z zamożnych gospodarzy w drodze do lasu. Widząc więc po drodze oświetlone okna domku Matei, wójta miejscowego, wstępujemy do niego. Na pierwszy rzut oka mile uderza nas wzorowy ład i porządek panujący w mieszkaniu. Samego gospodarza zastajemy już w łóżku, czytającego z zajęciem wielkiem, powieść z czasów wojny Japońsko rosyjskiej: „Posiew krwi“. Miło to spotkać się w takim zakątku górskim ze zdrową i prawdziwą kulturą wśród ludu.

Mateja z ochotą pożycza p. M. nowiutkich „kapci“ i w ten sposób załatwiwszy się z akcesoryami potrzebnemi niezbędnie do chodzenia po śniegu, wyjeżdżamy wreszcie do lasu. W kancelaryi lasowej czekają na nas zamówieni leśni i z nimi wyruszamy w góry.

Droga początkowo niezła bo utarta, zwózką drzewa psuje się co raz bardziej i idąc potykamy się co krok, gdyż noc ciemna bardzo. Nieocenioną usługę oddała mi tu kieszonkowa lampka elektryczna i gdyby nie ona, nie wiem jak byłbym doszedł na miejsce. Przez drogę zabawiają nas leśni różnemi opowiastkami myśliwskiemi i ludowemi. Opowiadają, że drogą, którą idziemy, przeszedł przed trzema dniami ogromy niedźwiedź, wyszedłszy z gawry udał się ku Magórze, na granicę węgierską. Opowiadają dalej, jak ze skał przydrożnych chciała pewna kobieta przed kilkunastu laty zrzucić swego męża, wielkiego niedołęgę. Zwabiła go na górę pod pozorem, że mu pokaże rosnący tam „tabak“ i następnie pchnęła go na dół. On jednak zatrzymał się na krzaku rosnącym na skale i zaczął w niebogłosy krzyczeć. Złośliwa kobieta biła go z całych sił po palcach kijem, by spowodować go do puszczenia się krzaku; jednak na krzyk nieszczęśliwego nadbiegli pasterze i uratowali biedaka, a w zamian złośliwą babę w przepaść strącili.

Słuchając opowieści omal nie zapomniałem o głuszcach. Wtem idący przodem zatrzymują się. Pytam zatem o przyczynę. Leśni odpowiadają mi, że na te dwa głuszce, na które mieli iść, moi dwaj towarzysze, jest już w skutek spóźnionej pory bezwarunkowo za późno, gdyż już godzina $^1/_2$2-giej, a na stanowiska te jeszcze najmniej 3 godziny drogi. Pozostaje zatem jeden, jedyny głuszec na „Krytej“ przeznaczony dla mnie, do którego także jeszcze blisko 2 godz. drogi. Ku memu więc wielkiemu nieukontentowaniu postanawiają wszyscy iść razem ze mną na „Krytą“ górę 1300 m. wysoką. Pewny, że polowanie w tych warunkach zupełnie się nie powiedzie, rad nie rad, wielce nieukontentowany idę dalej.

Przyszedłszy już pod samą Krytą, na której szczycie miał głuszec tokować, proponuję mym towarzyszom, żeby dla nierobienia hałasu zatrzymali się w tem miejscu, a ja z leśnym idę sam na szczyt. W połowie góry macam ręką kieszenie i o grozo, nie miałem ładunków.

Ładunki miałem w skórzanej kurtce, którą z powodu gorąca zdjąłem, idąc pod górę i dałem do niesienia innemu leśniczemu. Na szczęście idący ze mną leśny pokazuje mi mą kurtkę, którą rozłączając się z resztą towarzyszy, wziął ze sobą z rąk drugiego leśnego. Odetchnąłem i uspokojony idę dalej. Góra, na którą się drapiemy, stroma jak ściana, tak że postępujący przedemną leśny, znajduje się prawie nad mą głową, a ja z trudem wstępuję w zrobione przez niego w śniegu ślady. Po tak uciążliwem wspinaniu się przez jaką godzinę, dochodzimy wreszcie do szczytu. Nagle słyszę wyraźnie głos głuszca; i gdyby on w tej

chwili był się ukazał, z pewnością w skutek emocyi i zmęczenia byłbym do siedzącego chybił na czysto. Na szczęście miał on na tyle taktu i rozumu, że zaczekał aż trochę uspokoję me nerwy i dojdę do zupełnej równowagi.

Wtem z ponad gór i lasów ukazał się oczekiwany przezemnie z upragnieniem księżyc. Widoku, jaki się mym oczom w chwili tej przedstawił, nie zapomnę po koniec życia. Szczyty tatrzańskie w całem majestatycznem swem pięknie wyłoniły się z cienia nocy i okazały się ze wszystkich stron okryte śniegiem wierzchołki, od których ponuro i groźnie odbijała czerń lasów niżej położonych. Doprawdy, żałowałem, że nie umiem malować i przenieść tych cudów przyrody na płótno.

Jednak nie miałem czasu zachwycać się tym krajobrazem, gdyż w tej chwili skradający się przodem leśny przyklęknął i szepnął mi „siedzi“.

„Gdzie“ spytałem i wytężyłem wzrok we wskazanym kierunku, lecz mimo światła księżyca nic spostrzedz nie mogłem. Czekałem przeto jak słup soli, gotowy do strzału aż głuszec przez ruch jakiś zdradzi swe miejsce pobytu. Nagle o jakie 70 — 80 kroków, głuszec który tokował już na dole, pod drzewem na śniegu, musiał nas albo zobaczyć, albo posłyszeć, gdyż w jednej chwili jak strzała pomknął na piechotę, mając ochotę zerwać się do lotu. Nie czekając aż się zerwie, gdyż z powodu gąszczu w miejscu gdzie stałem, obawiałem się, że mi go drzewa zasłonią, strzeliłem. Góral skoczył naprzód a po chwili i ja byłem przy nim. Głuszec leżał martwy, trafiony bardzo szczęśliwie poniżej szyi tak, że upierzenie prawie zupełnie nie nadwyrężone. Był to wspaniały okaz potężnego, starego koguta, który już nie jedno tokowisko przeżył szczęśliwie.

Opisywać mej radości chyba nie potrzebuję, gdyż każdy myśliwy, który jeszcze do głuszca nie strzelał, łatwo ją sobie wyobrazi.

W tej chwili jakby dla dodania uroku i poezyi całemu obrazkowi, wypłynęła na horyzont różowa jutrzenka i blaskiem swym ozłociła cały krajobraz, który w jednej chwili z poważnego i melancholijnego stał się wesołym i śmiejącym. Staliśmy chwilę nad głuszcem, podziwiając jego, oraz ten wspaniały krajobraz. Wtem posłyszeliśmy ogromny szum skrzydeł, a gdym spojrzał w górę, ujrzałem kurkę, nadlatującą do swego amanta. Kura nie zauważywszy nas, siadła na drzewie, pod którem staliśmy, spostrzegłszy nas jednak a może i zobaczywszy swego zabitego amanta, zagdakała żałośnie i odleciała z powrotem, skąd przyszła. Podziękowawszy św. Hubertowi za tak wspaniały rezultat wyprawy, zeszedłem ze szczytu a połączywszy się z mymi towarzyszami, w krótkim stosunkowo czasie znaleźliśmy się z powrotem na leśnictwie, skąd, przekąsiwszy coś nie coś, udaliśmy się końmi przez dolinę Kościeliską do Zakopanego. Przybywszy tu zajęliśmy się najpierw wyekspedyowaniem głuszca do wypchania.

Rezultat polowania, wobec pechu, jaki zdawał się towarzyszyć naszej wyprawie mogę nazwać nader szczęśliwym, gdyż zabicie głuszca zaraz na pierwszem tokowisku jest rzadkością, a nieraz trzeba się dobrze namęczyć i kilka a nawet kilkanaście nocy nie przespać, by dojść do strzału.

W każdym razie ten rodzaj polowania, choćby się nawet do strzału nie doszło, jest tak pięknym i tak nęcącym, że z serca radzę każdemu z towarzyszy myśliwych, jeżeli jeszcze nigdy nie był na tem iście królewskiem polowaniu, by jak najprędzej postarał się o to, a z pewnością wdzięcznym mi za radę będzie.

Nowytarg, dnia 7. maja 1907.

Sprawozdanie

z czynności Wydziału Gal. Towarzystwa łowieckiego za czas od 16. czerwca 1906 do 16. czerwca 1907.

Towarzystwo nasze, posiadające własne czasopismo znajduje się w tem niezwykle korzystnem położeniu, iż za jego pośrednictwem informuje swoich członków o wszystkich sprawach we właściwym czasie, otwierając w ten sposób nad niemi niejako publiczną dyskusyę.

Wobec tego praktycznego procederu, odpada potrzeba przedkładania Walnemu Zgromadzeniu generalnego sprawozdania z całorocznych czynności Wydziału, tak, że sprawozdanie ogranicza się tylko do omówienia spraw najaktualniejszych.

Ponieważ największej wagi sprawą na dobie była i jest jeszcze reforma ust. łow., dla uzupełnienia więc tego, co w tym przedmiocie na zeszłorocznym Zjeździe prezes naszego Towarzystwa wypowiedział i cośmy następnie w nr. 23. Łowca z r. 1906 oświadczyli, podaje nadto Wydział do wiadomości myśliwskiego ogółu, że w 6 numerze Łowca z b. r. wydrukowaliśmy artykuł Dr. Wł. Sołowija p. t. „Reforma ustawy łowieckiej“. Jest to dotychczas ostatnie w tym przedmiocie wypowiedziane słowo i jak najdokładniejszy obraz całej sprawy.

Postulat ostatniego Walnego Zgromadzenia, w sprawie urządzenia w roku bież. wystawy rogów, wypełnić się nie dał z powodu trudności w znalezieniu odpowiedniego lokalu, jednakowoż jest uzasadniona nadzieja, że dzięki już poczynionym staraniom ze strony komitetu wystawowego trudności te dadzą się usunąć, i że w niedalekim terminie o ktorym zadecyduje tegoroczne Walne Zgromadzenie wystawa ta przyjdzie do skutku i wypadnie wspaniale.

Arcyważna a nader trudna do przeprowadzenia akcya uregulowania naszego słownictwa łowieckiego jeszcze dotąd z powodu trudności w doborze zawodowych sił nie została rozpoczętą, Wydział jednak czuwa nad nią troskliwie i wszystkich sił dołoży, aby ta ważna sprawa została raz załatwiona.

I w tym okresie sprawozdawczym, miło to nam zaznaczyć, uwidocznił się pomyślnie rozwój Towarzystwa. Od ostatniego Walnego Zjazdu przybyło nam 169 nowych członków, a Biuro załatwiło w tym czasie 41 spraw dotyczących odstrzału łań i siut, tudzież jeleni w czasie ochronnym,

Również i w tym roku nieubłagana śmierć wyrwała z naszego grona wielu towarzyszy. W okresie sprawozdawczym zmarli:

Władysław Zontak, Alfred Dzikowski, Dr. Jan Zduń, Br. Władysław Czechowicz, Franciszek Czerniakowski, Stanisław Żurowski. Maryan Eder, Romuald Koczyński, Hr. Mieczysław Borkowski, Stanisław Agopsowicz, Hr. Mieczysław Komorowski, Antoni Morelowski, Dr. Leonard Orzechowski, Jakób Simiginowski, Jan Winiarski, Stanisław Chmurowicz, Oskar Kopacz, Ludwik Ostrowski i Franciszek Obmiński.

Wreszcie podajemy do wiadomości, że z dniem Walnego Zgromadzenia ustępują z Wydziału po myśli postanowień §. 24 naszego statutu następujący członkowie: pp. Teofil Żurowski, Franciszek Szczerbicki i hr. Stanisław Mycielski, nadto wakuje miejsce w Wydziale po śp. Alfredzie Dzikowskim. Jako zastępcy zaś ustępują: pp. Konstanty Kownacki i Dr. Maryan Boziewicz.

Zamknięcie rachunków

funduszu galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego za rok 1906.

L. p.	DOCHODY	K.	h.	L. p.	WYDATKI	K.	h.
1	Zapas kasowy z dnia 31. grudnia 1905	5.448	79	1	Druk „Łowca“	3.798	—
2	Wpisowe od nowych członków	300	—	2	Inne druki	289	—
3	Wkładki członków	10.875	75	3	Administracya „Łowca“	1.600	—
4	Księgarnie za prenumeratę	250	33	4	Redakcya „Łowca“	1.600	—
5	Inseraty	1.846	60	5	Korekta	480	—
6	Strzałowe podczas Zjazdu	590	—	6	Honorarya autorów	213	04
7	Za odznaki członków	160	—	7	Ilustracye	108	90
8	Nadzwyczajne i przebieżne	315	03	8	Koszta wysyłki „Łowca“	1.362	09
9	Zwrot kosztów pocztowych	276	55	9	Kontrola rachunkowa	720	—
10	Zwrot zaliczek z poz. 22 wydatków	1.295	—	10	Kursor i usługa	360	—
				11	Czasopisma łowieckie	41	51
				12	Biblioteka	196	27
				13	Czynsz za lokal	692	—
				14	Ryczałt kancelaryjny	280	35
				15	Koszta Zjazdu i Walnego Zgromadzenia	691	72
				16	Koszta odznak a) członków 90		
				17	b) delegatów 500	590	—
				18	Nadzwyczajne i przebieżne	274	25
				19	Nagrody z fundacyi Józefa hr. Potockiego	70	—
				20	Inwentarz i urządzenie biura	140	—
				21	Prowizya za zbieranie anonsów	480	—
				22	Podatek ekwiwalentowy	1	04
				23	Zaliczki na poczet należytości (p. 10 doch.)	1.295	—
					Pozostałość kasowa na dalsze wydatki	6.074	88
	Razem	21.358	05		Razem	21.358	05

Podpisani członkowie Komisyi rewizyjnej, wybrani na Walnem Zgromadzeniu gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie, dnia 2. lipca 1906 r. dnia dzisiejszego przedsięwzięli rewizyę ksiąg i rachunków Towarzystwa za rok 1906, a znalazłszy wszystkie księgi wzorowo prowadzone, bilans zaś zupełnie zgodny z księgami, oraz i wykazaną pozostałość kasową z dniem 31. grudnia 1906 w kwocie koron 6.074 hal. 88 ulokowaną na książeczce Banku kraj. Nr. 340 lit. C. stawiają wniosek: Walne Zgromadzenie raczy udzielić Wydziałowi Towarzystwa absolutoryum z powyższych rachunków.

We Lwowie, dnia 13. kwietnia 1907

A. Goralczyk *Fr. Szczerbicki.*

Preliminarz

dochodów i wydatków gal. Towarzystwa łowieckiego na rok 1907.

L. p.	DOCHODY	K.	L. p.	WYDATKI	K.
1	Wpisowe członków	250	1	Druk „Łowca“	3.800
2	Wkładki członków	10.500	2	Inne druki	200
3	Księgarnie za prenumeratę	250	3	Administracya „Łowca“	2.000
4	Inseraty	1.650	4	Redakcya „Łowca“	2.000
5	Strzałowe podczas Zjazdu	600	5	Korekta	480
6	Odznaki członków	150	6	Honorarya autorów	250
7	Nadzwyczajne i przebieżne	300	7	Ilustracye	200
8	Wyrównanie z pozostałości kasowej	1.800	8	Koszta wysyłki „Łowca“	1.200
			9	Kontrola rachunkowa	720
			10	Kursor i usługa	480
			11	Czasopisma łowieckie	150
			12	Biblioteka	200
			13	Czynsz za lokal	850
			14	Ryczałt kancelaryjny	300
			15	Koszta Zjazdu i Walnego Zgromadzenia	600
			16	Kupno odznak	200
			17	Nadzwyczajne i przebieżne	300
			18	Nagrody z fundacyi Józefa hr. Potockiego	120
			19	Inwentarz i urządzenie biura	200
			20	Koszta założenia ławy targowej	250
			21	Subwencya na koszta urządzenia wystawy rogów	1.000
	Razem	15.500		Razem	15.500

Porządek obrad

Walnego Zgromadzenia Członków gal. Tow. łowieckiego z dnia 2. lipca 1907.

1. Zagajenie.
2. Odczytanie protokołu z ostatniego Waln. Zgromadzenia.
3. Sprawozdanie z czynności Wydziału za r. 1906/7.
4. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej.
5. Preliminarz na r. 1907.
6. Sprawozdanie z czynności komitetu Wystawy Galic. Tow. łow.
7. Wystawa łowiecka jubileuszowa w Wiedniu r. 1910.
8. Wybory.
9. Wnioski członków.



Korespondencye.

Kroniczka lisia.

(Ciąg dalszy).

5. Wiosna. — Czekam na ciąg słonek. Wychodzi lis i myszkuje po obu brzegach małego potoczku, przeskakując z jednego na drugi. Wtem przerywa na chwilę tę zabawę i wpatruje się we mnie. — Siedzę na polance otwartej przed drzewem. — Czekać więc nie mogę i natychmiast strzelam na 80 kroków słonczym śrutem. — Lis kręci się, robi młynka na miejscu i wreszcie pada nieżywy. Sekcya wykazała, że miał jeden, jedyny śrucik w oku i zarazem w mózgu.

6. Polujemy na szarej stopie. Zabijam przed sobą lisa. — Nadchodzący chłopiec z pogonki nie może go w trawach wynaleźć. Idę więc sam, biorę lisa za kitę i niosę go do linii. Wtem brat mój, stojący obok woła: „uważaj, bo cię skaleczy“! Lis chwycił mój but powyżej kostki i w ostatnim skurczu tak się wpił w skórę, że drągiem musieliśmy mu pysk otwierać.

7. Tuż przed śniadaniem wyjmuje furman zwierzynę z wielkiej bryki i układa pierwszy rozkład. — Ułożył lisa nieżywego, trzymającego za kark zająca. — Furman wypiera się tego figielka, a prawdziwość jego słów potwierdza bardzo mocno ściśnięta morda. — Widocznie więc lis ten nawet w chwili śmierci nie zapomniał o swoim ulubionym przysmaczku.

8. W Markowcach ubiłem raz lisa bez ogona. W pierwszej chwili posądzałem chłopca z nagonki, że kitę zwędził do „kłapani“. Przekonałem się jednak, że kity wcale nie było, a nasada ogona była zupełnie zarośniętą. Więc stracił ją w żelazku, sam ją odgryzł, lub źle chwytny chart mu ją oderwał.

9. Na doskonałem polu białem polowaliśmy z chartami. — Poszczuty lis wraz z dochodzącymi go już prawie chartami znikł nam za pagórkiem. — Dojeżdżamy więc co konie wyskoczą i widzimy tuż w dolince pasiekę otoczoną wysokim płotem. — Naokoło chodzą charty i skomlą żałośnie. — Zaglądamy do środka i widzimy lisa, siedzącego na ławce obok ulów. Nie mając ze sobą żadnej broni, bombardujemy go kulami ze śniegu. Lis skacze z ławki na płot, ale w tej chwili chwyta go i ściąga chart na zewnątrz. — Do środka dostał się lis maleńkim otworem, a raczej ścieżką, wydeptaną przez zające pod płotem.

10. Polując w Załuczu pod Śniatynem przed laty w jesieni na zające, natrafiłem na niewielkie bagienko, w połowie gęstym zarośnięte szuwarem. Mój młody pies stanął przed szuwarem i zaczął warczeć, nie chciał jednak postąpić naprzód. — Obchodzę więc szuwar z drugiej strony, a chłopiec który mi nosił zwierzynę, wszedł w szuwar. Na kilka zaledwie kroków wymyka z szuwaru chyłkiem ogromny lisiura, którego ubiłem, wtem drugi wyskakuje na prawo. Postrzeliłem go mocno. — Chłopiec krzycze „byjte“; słyszę chlupot w wodzie i widzę dwa młode ale już spore lisy, chlapiące pospiesznie w błocie po szyję. Zaledwie miałem czas nabić i posłać im, ale już daleko i bez skutku, 2 strzały. — Lisy po wyjściu z tego „mordbadu“ były czarne po szyję. — Za postrzelonym lisem pobiegł mój pies. Chwytał go kilkakrotnie, ale ten zawsze się odcinał, i ostatecznie znikł w jamie pobliskiego podgórza, a piesek mój bezradnie chodził naokoło jamy. — Dziwne, że w najbliższem sąsiedztwie tej familijki było dużo zajęcy i nigdzie nie znalazłem śladów popełnionego przez lisy morderstwa. — Później nieraz tam lisy w trawie daleko się wymykające zdybywałem i zawsze mi je ten sam pies warczeniem sygnalizował.

11. Na polowaniu, w lesie na śniegu, sąsiad mój zabił między i za nami zające. — W tej chwili wypada z gąszczu dokładnie tropem zajęczym lis, którego strzeliłem tak, że posunąwszy się w strzale upadł i przykrył zająca. — Żałuję, że się chwilę nie wstrzymałem ze strzałem, bo jestem pewny, że bezczelność i żarłoczność w ślady zająca go przywiodła i że byłby z pewnością chwycił leżącego zająca.

(C. d. n.)

Józef Łysakowski.

Drohowyż 6. kwietnia 1907.

Kaliber 360.

Polemika ostatnich czasów co do kalibru i rodzaju kulowej broni, w zastosowaniu do polowań na grubszego zwierza, skłania mię do skreślenia wyniku kilku strzałów, których echo powtórzyły ostępy naszych pięknych, karpackich borów.

Do polowań w górach używałem w ostatnich czasach trzylufka „Hammerles“. Z pewnem niedowierzaniem wziąłem tę broń do ręki, gdyż stosunkowo mało u nas używany kaliber 360 (9·3 mm.) wydawał mi się za słaby, by go módz użyć z odpowiednim skutkiem na grubszą zwierzynę. Z drugiej strony, nęciła i przemawiała za tą bronią możność wszechstronnego zastosowania jej w kniei, gdzie przed nagonką zarówno z jeleniem i odyńcem, jak z kuną i jarząbkiem spotkać się można. Wreszcie rostrzygnął w wyborze lekki i zgrabny wygląd broni, co w górskim terenie także pewną odgrywa rolę i „Mauser“ został tym razem w domu.

Nie żałuję tego wyboru, bo z czasem przekonałem się, że nabój wspomnionego kalibru o pięciu gramach prochu i tępy pocisk z twardego ołowiu w kształcie walca lub o miedzianym płaszczu, tak zwany Tesznerowski, w kształcie ściętego stożka, gdy się go dobrze umieści, kładzie grubego zwierza w ogniu, albo przynajmniej zostawia tyle farby, że późniejsze odszukanie postrzałka nie sprawia trudności — o czem zresztą niech powiedzą przykłady:

Pogodny poranek jednego z ostatnich dni listopada z. r. zastał mię na stanowisku, na starym zrębie w okolicy Perehińska. Gęste zarośla i kłody odwiecznych, wichrem powalonych pni, odsłaniały zaledwie przez wąską szczelinę, widok na małą, górską polanę, zresztą na błękitne tło nieba, na którego krańcach zarysowały się wierzchołki sędziwych jodeł, siwe od szronu i spowite tu i ówdzie płatami przeciągającej mgły.

Podziwiałem przez chwilę ten piękny obraz, który tylko przyroda stworzyć potrafi, gdy z oddali doleciał mnie odgłos nagonki. Od strony polany dał się słyszeć w zaroślach lekki szmer, jakby ostrożne stąpanie i nagle zarysowała się na ciemnem tle zieleni wspaniała sylwetka jelenia. Krótki rzut oka na wieńce i strzał, były dziełem sekundy. Strzeliłem, jak się strzela do kuropatwy, gdy stadko niespodzianie się zerwie.

Z dymem znikł piękny obrazek, a natomiast usłyszałem trzask łamanych gałęzi i uderzenie rogów o drzewo. Obfita farba zaprowadziła mię wkrótce na miejsce, gdzie leżał w odległości kilkudziesięciu kroków martwy jeleń; silny byk, dwunastak, o miernym stosunkowo wieńcu. Kula tesznerowska weszła w pierś obok prawej łopatki i ekspandowała wewnątrz.

W jednym z następnych miotów, stałem nad brzegiem rozległego parowu. Na stokach widniały tu i ówdzie wśród gęstych zarośli i krzewów, gromadki młodych jodeł, jakby pod opieką odwiecznych pni wiatrołomu. Nagle poruszyły się lekko wierzchołki zarośli i wśród nich ukazała się najpierw głowa, wreszcie szyja starej, samotnej łani. Odstrzał ich był ze względu na ogólny stan zwierzyny wskazany i pozwolony i łania z kulą u nasady szyi stoczyła się po kilku skokach, martwa na dno parowu.

Pięknym był miot ostatni. Dostałem stanowisko na połoninie pod starym, w połowie złamanym świerkiem. Przedemną na odległość strzału zataczała wspaniałe półkole poważna, gęsto podszyta knieja, ozłocona ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Dokoła zaległa cisza, tylko dzięcioł wybijał gdzieś w oddali na suchym pniu dębu swój monotonny rytm.

Wtem jakieś cienie pomknęły w zaroślach, od strony kniei doleciał tętęt jakby koni w biegu i po chwili wpadły na połoninę w lekkich skokach najpierw dwie łanie, a za niemi potężny jeleń. Ostrożnie podniosłem broń gotową do strzału, ale w chwili, gdy srebrna muszka zabłysła na łopatce wspaniałego zwierza, jeleń nagłym ruchem zwrócił się w stronę mego sąsiada. Odłożyłem dryling.

Chwila emocyi i oczekiwania, słychać strzał jeden i drugi, poczem całe towarzystwo zwraca się w szalonych skokach w przeciwną stronę i przebiega obok mnie połoninę, na odległość kilkudziesięciu kroków. Złożyłem się i przez obłok błękitnego dymu zauważyłem, że jeleń potknął się w strzale; po kilku skokach odłączył się od łań i ze spuszczonym do ziemi łbem znikł w pobliskim parowie, by go za życia nie opuścić więcej.

Był to potężny byk, dwunastak, o pięknym, ciemnym, dobrze uperlonym wieńcu. Tępa kula z twardego ołowiu weszła w dolną część prawej łopatki i wyszła tuż poza łopatką lewą. Na miejscu strzału znalazłem drobne odłamki kości i farbę, która z każdym krokiem stawała się wyraźniejszą, wreszcie bryzgała strumieniem.

Piękny ten rozkład zostanie mi długo w pamięci.

Z kilku dzików, strzelanych na innych polowaniach z lufy wspomnionego kalibru, nie przepadł żaden, a jeżeli się czasem zdarzyło, że rogacza nie podniosłem po strzale, wtedy w dzienniku myśliwskim wypadło niestety umieścić wzmiankę o całkiem prawidłowem pudle i pocieszać się myślą, że wykluczenie go z życia myśliwego ujęłoby polowaniu wiele emocyi i uroku. *T. P.*

Gorajowice w kwietniu 1907.

Ciąg wiosenny słonek był, jak na naszą okolicę, wcale dobry. — Pierwszą słonkę widziano 6. kwietnia. — Chodziliśmy przez cały tydzień w dwie do czterech strzelb, na każdy wieczorny ciąg i padało po kilka, nawet kilkanaście strzałów do słonek, z różnym rezultatem.

Przy sposobności ciągu słonek mieliśmy przyjemność obserwowania sarn pasących się po krzakach, (biedactwa jadły opadłe z drzew liście); Chwała Bogu, widzieliśmy jak na nasze stosunki i po tak strasznej zimie dosyć dużo, lecz bardzo chude. — W głębszych lasach, a zwłaszcza na stoku północnym leżały jeszcze śniegi, my zaś na słonki stawaliśmy w krzakach położonych na południowym stoku; sarny te widocznie ściągnęły z okolicznych lasów na tę stronę, czemu zawdzięczaliśmy przyjemność oglądania ich.

Pan A. Przedrzymirski w ostatniej owej korespondecyi w „Łowcu“ przypisuje winę odmawiania posłuszeństwa przez browninga nie jemu samemu, lecz posiadającemu go myśliwemu. — Nie znam wprawdzie tak dobrze tego gatunku broni, bym w tym względzie mógł polemikę prowadzić, nie jestem również jej przeciwnikiem ani też zwolennikiem, zwłaszcza dla naszej okolicy i po tegorocznej zimie, gdzie suponuję nawet i ze zwykłej pojedynki nie będzie do czego strzelać; ale dla wiadomości podaję to, co widziałem.

W wypadku, który swego czasu podałem w mej korespondencyi, zdaje mi się, że wina prędzej była w browningu samym, gdyż:

1. Ładunki z prochem bezdymnym gotowe przyszły od Nowotnego z Pragi, razem z tym browningiem tej zimy; trzeba więc suponować, iż firma ta dała dobre i dostatecznie silne ładunki.

2. Browning cały, tak mechanizm jak lufy były wzorowo wyczyszczone, gdyż poluję z myśliwym owym od lat wielu i wiem jak pedantycznie czyści, zwłaszcza broń, do której używa bezdymnego prochu i utrzymuje ją każdej chwili w idealnej czystości; browning zaś ten w dodatku oglądałem tego samego dnia przed polowaniem.

3. Gdy myśliwy ów, po tem polowaniu, napisał do Nowotnego o narowach tego browninga i prosił go, by mu udzielił wskazówek, jak ma temu zapobiedz; Nowotny odpisał, że sam w warsztacie musi to poprawić i prosił o przysłanie mu browninga; widocznie więc wada leżała w samym browningu, po usunięciu jej przez Nowotnego, browning ma podobno obecnie dobrze fungować. — Czy tam kiedy znowu co nowego nie wylezie, zobaczymy. — Dodać muszę, iż rzeczywiście udają się browningiem strzały na odległość taką, przy jakiej, mając w ręku zwykłą dobrą śrutówkę, nie wypadałoby się z niej nawet zmierzyć do zająca.

W. Biesiadecki.

Manasterzec, w kwietniu 1907.

Sarny po tegorocznej zimie. — Kłusowniciwo. — Słonki.

W korespondencyi z dnia 19. marca b. r. umieszczonej w Nrze 8 „Łowca“ opisuje Pan R. Kesselring fatalne skutki tegorocznej zimy na stan sarn w lasach Suchodołu.

Miały tam w niektórych częściach lasu sarny doszczętnie wyginąć, w innych częściach miał się ich stan o 80 do 90% zmniejszyć.

Miejmy nadzieję, że to nadzwyczajne zmniejszenie się stanu sarn — bo równające się prawie zupełnemu ich wyginięciu — należeć będzie w naszym kraju do rzadkich wyjątków i jakkolwiek straty wskutek ciężkiej zimy i wielkich śniegów będą znaczne, tak znacznego procentu jednak jak w Suchodole, może nigdzie nie osięgną.

U mnie w 300 ha. lesie z drzewostanem w połowie liściastym w poł. szpilkowym, znajdowało się podług obliczenia przy pierwszej ponowie z początkiem zimy około 30 sztuk sarn i mimo, iż wskutek wielkiego, bo prawie metrowego śniegu — karmy w niektóre części lasu ani donieść ani dowieść nie można było — przezimowały one nadspodziewanie dobrze — bo już w marcu i kwietniu widywałem rudle po kilka i kilkanaście sztuk liczące — ruchliwością swą nie okazujące wcale zmęczenia, lub wynędznienia.

Sarny tutejsze żywią się w zimie przeważnie liśćmi ostrężyny — która jak wiadomo i pod śniegiem zieloność zatrzymuje i która tutaj wszędzie w znacznej ilości się znajduje.

Tej zimy nie mogąc się dogrzebać — wskutek głębokości śniegu — do ostrężyny i do łodyg borówek (jafyny) zmuszone były sarny korzystać wyłącznie z tego, co nad powierzchnią śniegu znaleść mogły.

Żywiły się one pączkami, korą drzew liściastych; miejsca, gdzie rąbano sągi — były ulubionem ich żerowiskiem, wierzchy i gałęzie wyglądały jak okorowane a miejsca koło nich wydeptane przez sarny, jak ujeżdżalnia.

Niestety, korzystały one z pączków szczytowych młodej jedliny — z tak zwanych rozetek w daleko większym stopniu, niż w innych zimach i jeżeli w łagodnych zimach szkody wyrządzone młodej jedlinie nazwiemy znacznemi, to w tej zimie musimy je nazwać olbrzymiemi.

Wskutek stwardnienia śniegu sarny przez dłuższy czas potrafiły się racicami utrzymać na powierzchni skorupy śnieżnej a dzisiaj po stajaniu śniegów dziwimy się, widząc wszędzie nawet 2 metrowe jodełki, pozbawione pączków szczytowych.

Pącze szczytowe jodełek są zapewne przysmakiem dla sarn — bo obcinają one i w łagodnych zimach nisko stojące jodełki — oszczędzając zupełnie młode świerki. Tej zimy zauważyłem, że i w kulturach świerkowych są znaczne szkody, bo i tu w większej części brakuje pączów szczytowych.

Lecz trudno, trzeba nam myśliwym przypisać te szkody nie sarnom biednym, lecz nader ciężkiej zimie, jakiej od 20 nie było i wogóle powinniśmy być zadowoleni, jeżeli sarny tę zimę bez znacznego ubytku przebyły.

U mnie znalazła służba tylko jedną, przez drapieżce pociętą sarnę w marcu. Lecz czy sama zginęła, czy też przez wilki lub lisy rozszarpaną została, dociec nie mogłem.

Co do kłusowników, to nie brak ich u nas. Zanotuję tylko fakta, zaszłe od wiosny 1906 do dzisiaj,

Las mój graniczy od strony południowej t. j. od strony gór na przestrzeni może dwukilometrowej z wąskim pasem lasu rustykalnego, należącego do gminy Stronna powiatu Drohobyckiego.

Polowanie na gruntach rustykalnych w Stronnej dzierżawi zarząd lasów barona Liebiega w Podbużu. W Stronnej jest wielu kłusowników i z tej strony granica moja ciągle jest niepokojoną. Zwracałem się już kilkakrotnie pisemnie do zwyż wymienionego zarządu lasów i wiadomo mi, iż zarząd ten polecił pilniejsze dozorowanie leśnym swym, niestety jednak, kłusownictwo kwitnie tam jak dawniej.

Leśny mój Sadłowski, któremu poleciłem czujne pilnowanie tej granicy wieczorami i nad ranem, okazał się dosyć gorliwym, przyniósł bowiem 3 sztuki postrzelone przez kłusowników na granicy, na szczęście 2 rogacze i jedną kozę. Tę ostatnią sztukę odebrał Sadłowski od kłusownika w chwili, gdy ją dobijał nogą. Kłusownik niepoznany umknął.

Jeden z rogaczy padł po strzale tuż koło ukrytego w lesie leśnego, drugiego znalazł idąc za farbą po śniegu o kilkaset kroków od granicy. Wszystkie 3 sztuki strzelane były sarniakiem z tyłu, 2 z nich z połamanymi tylnym badylami.

To powinienem dodać, że leśny ten nosi karabin służbowy Werndla i ma przy sobie 2 patrony metalowe z kulami, pod rachunkiem. Strzelać mu nie wolno, tylko do wilka lub dzika, więc przyniesione sztuki przez niego strzelone być nie mogły.

W jesieni znalazł podpisany przy polowaniu na jarząbki, jedną — na szczęście starą kozę — świeżo zabitą z przestrzeloną kulą lub kawałkiem żelaza, wątrobą, niedaleko tej granicy.

Nareszcie z końcem maja przeszłego roku leśny ten usłyszał strzał w lesie rustykalnym, zaraz po strzale wypadła siuta na granicę, tuż za nią troje maleńkich, jeszcze krasych sarniąt. Za chwilkę ukazał się kłusownik ze strzelbą w ręku, w którym Sadłowski poznał leśnego gromadzkiego ze Stronny a który ani prawa polowania, ani prawa noszenia broni palnej nie ma.

Na skargę mą, wniesioną do Starostwa w Drohobyczu, popartą przez zarząd Podbuzki, ukaranym został kłusownik ten grzywną 20 kor.

Strzelby mu żandarmerya nie zdołała odebrać, bo ukrywa ją zapewne w lesie.

Ciąg słonek tego roku nadzwyczaj spóźniony. Najpiękniejsze ciągi zauważyłem dopiero po 15 kwietnia, t. j. w czasie, w którym ustawa już ich strzelać nie dozwala.

Gdy się pierwszy raz tego roku na ciąg słonek wybrałem, a było to jakoś z początkiem kwietnia, chciałem z powodu wiatru stanąć na najbliższem, zasłoniętem stanowisku. Gdy się zbliżyłem do stanowiska, które zająć miałem, z nienabitą strzelbą, zobaczyłem spokojnie ryjącego, wielkiego odyńca. Zrobiłem krok w tył za jedlinę, aby nabić strzelbę, zoczył to jednak odyniec i w mgnieniu oka znikł w gąszczu, fucząc jak lokomotywa.

My tu na Podgórzu, mamy tę przyjemność, widzieć i słyszeć ciągnące słonki jeszcze w maju i czerwcu. Są to albo słonki lęgowe, które dla kmocyi skrzydeł co wieczór wycieczki sobie urządzają, albo też ptaki nie mające jeszcze pary. Słonki te, lecą prawie zawsze w jednym kierunku i powracają po chwili tą samą drogą napowrót, wabiąc całkiem regularnie, jak w marcu lub kwietniu.

Stanisław Frankiewicz.

Bonn 10. maja 1907.

Ze Styryi.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia, żegnałem Galicyę z okien wagonu, mknącego na Zachód. Celem jazdy mojej, a raczej pierwszym jej etapem, była Styrya i głusz-

ce, o których toku, właśnie rano dostałem telegraficzne uwiadomienie. Deszcz lał strumieniami, mgły ciemne wisiały wokoło, uściskiem kraj obejmując, szyny, pociąg i okna wagonu... innymi jednak krajobraz drżał w duszy. Widziałem już góry i śniegi i słońce, skały widziałem i jodły wysokie... i wszystkom wtedy przeżywał już w duszy, co mnie dzień później, tak zachwycić miało. Rano przeleciałem tylko przez Wiedeń, z dworca na dworzec i trzydziestego popołudniu, po długiej jeździe lokalną koleją, dorównującą prawie naszym galicyjskim, stanąłem na miejscu, w miasteczku Weiz. Załatwienie drobnych formalności zajęło mi chwilę czasu, poczem siadłem do fiakra, aby udać się w góry do rewiru, o dwie godziny jazdy odlego. Droga idzie z początku zieloną doliną, ciemne lasy szumią po obu stronach poważną pieśń; coraz chłodniej jednak zaczyna się robić, coraz bliżej widać białe szczyty gór. Nagle dolina gwałtownie skręca, rozszerza się w okrągłą łąkę, a na drugim jej końcu widać mury potężnego zamczyska i czarny za nimi otwór między skałami, które z zielonej łąki wyrastają. Ta ruina, to Sturmberg, strzegąca wejścia do ciemnego wąwozu, do Weizklammu. Zanim czas miałem uśmiechnąć się do promieni słońca na szerokiej dolinie, w zamian za ich cudny ku mnie uśmiech, zanim czas miałem oglądnąć tę ruinę, ciemny mnie wąwóz pochłonął, poczułem chłód skał. Droga tylko moja na dnie wąwozu i głośno szumiący potok a po dwu stronach skały wysokie... a nagie. Gdzieniegdzie urwisko i jodła wyrasta a zresztą mech, mech... i skały wilgotne, po których krople z cichym szelestem na drogę spadają.

Rzadko się już kiedy zachwycam, ale to mnie naprawdę zachwyciło, ten przeskok ze słońca do ciemności wąwozu, te skały nagie, prostopadłe, przynajmniej dwieście metrów wysokie, ten szum potoku donośny i cichy szelest kropel. Tak jechałem z godzinę i o zachodzie słońca stanąłem znowu na otwartem miejscu, w porządnej gospodzie wśród mego rewiru, Katherein. Z okna śliczny jeszcze miałem widok na kościół, na szczycie góry, bielejący nad ciemnym lasem i oświetlony zachodzącem słońcem. Rozmówiwszy się z poważnie wyglądającym „Joaga“, co mi niełatwo przyszło i zjadłszy kolacyę, położyłem się spać, ale nie na długo, bo o drugiej już brnąłem przy świetle księżyca w głębokim śniegu, posuwając się za moim przewodnikiem w górę. Po takiej godzinnej przechadzce, usiedliśmy i w tej chwili usłyszałem pierwszego głuszca, a raczej trzy odrazu grające nad nami. Nie było więc czasu na odpoczynek, tylko jazda do najbliższego. Nie bardzo zgrabnie szło skakanie, bo śnieg chrupał, a pieśń krótka, (najdłuższa trwa dwie sekundy); trzeba więc czasem było stać na jednej nodze lub w innych najdziwaczniejszych pozycyach. A przerwa między pieśniami, dochodzi czasem do pięciu minut. Wyobraziwszy sobie, że stoję na boku i patrzę na swoje i przewodnika ruchy, zacząłem się śmiać, aż się zgorszony „Joaga“ oglądnął. Jakiej tu zupełnie innej zgrabności trzeba niż w salonie, ale też za to, jak się też inaczej wygląda, oddycha! Zmęczony już byłem, nogi się podemną trzęsły, gdy nareszcie stanął mój przewodnik, palcem wskazując nad siebie.

Na szczycie modrzewia ujrzałem głuszca. Bajecznie wyglądał na tle księżyca i błękitu nieba. W takt ciągłej pieśni stanąłem wygodnie i ułożyłem się, ale tak ciemno, że muszki nie widać. Kombinuję więc co robić, ale przewodnik nagli, bo niedaleko gra drugi; biorę więc z jego ręki schönauera, odkładam śrutówkę (wszystko w takt pieśni) i palę przez lunetę, a głuszec trzepocąc się spada w głąb parowu. Dwa jeszcze w ten sposób ubiłem tego ranka i przekonałem się, że głuszca każdego zejść można bardzo blisko. Drugiego dnia uśmierciłem dwa, a dwa niestety chybiłem, ale to już po toku strzelając, bardzo daleko na szczytach jodeł. Na trzeci dzień rano z powodu deszczu raz tylko do strzału doszedłem, ale też zato własnym przemysłem podszedłem głuszca na piętnaście kroków i długo go obserwowałem; po strzale, aż się zatoczył. Oprócz strzelanych, widziałem przez binokle bez końca głuszców siedzących, jak wrony po drzewach, ale o podejściu takich, w dzień nie grających, niema mowy. Z żalem opuszczałem Katherein, gdzie byłbym z pewnością dłużej siedział, gdyby nie brak czasu, bo tok był dopiero rozpoczęty i dlatego też np. na zapadach, ani razu nie widziałem, ani nie słyszałem głuszca. Gdym znowu wracał przez ciemny Weizklamm, sześć „bruchów“ (niema jeszcze niestety polskiego wyrażenia), zdobiło mój kapelusz a na ławeczce powozu leżało rzędem sześć rycerzy skrzydlatych, cel marzeń niejednego i moich oddawna, sześć ptaków wspaniałych, które niedawno jeszcze ucztowały po górach wśród godów weselnych, a teraz kraj swój rodzinny opuścić zmuszone na zawsze. A mnie się dostało w udziale: ...prześliczne wspomnienie! *C. C. G.*

Bonn 10. lipca 1907.

W lasach Ordynacyi Wysuckiej padło przez kwiecień: 2 odyńce i 31 słonek. Ciąg był bardzo słaby, pierwszą słonkę widziano dopiero ósmego kwietnia i zaledwie cztery dni bawiły u nas. *C. C. G.*



REGULAMIN

popisowego strzelania uczestników Zjazdu łowieckiego, urządzonego przez galicyjskie Towarzystwo łowieckie w dniu 2. lipca 1907 punktualnie o g. 2 po południn na strzelnicy wojskowej.

I. Strzelanie z pistoletów na 25 kroków o dwie nagrody:

II. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków o trzy nagrody.

III. Strzelanie kulami do tarcz stałych na odległość 120 kroków o trzy nagrody.

IV. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do dzika, o trzy nagrody.

V. Strzelanie kulami do tarcz ruchomych, mianowicie do lisa o trzy nagrody.

VI. Strzelanie do krążków glinianych o trzy nagrody.

---

§. 1. Do udziału w strzelaniu ad II. i IV. są uprawnieni tylko członkowie i delegaci galicyjskiego towarzystwa łowieckiego, do strzelania ad I., III., V. i VI. członkowie Towarzystwa, delegaci, uczestnicy zjazdu i osoby przez Towarzystwo zaproszone.

§. 2. Zgłoszenie do każdego z wymienionych rodzajów strzelania, ma nastąpić najpóźniej na 15 minut przed rozpoczęciem strzelania.

Zgłoszenia przyjmuje komitet na miejscu urzędujący.

§. 3. Wpisowe do każdego rodzaju strzelania wynosi 6 koron.

§. 4. Każdy ze strzelających może używać własnej broni myśliwskiej, t. j. strzelb i sztućców, z wykluczeniem sztućców tarczowych, z lunetami i gukierami. Przy strzelaniu ad I. wolno używać tylko pistoletów tarczowych, ciągnionych.

Przy strzelaniu ad IV. i V. (do tarcz ruchomych) nie wolno według postanowień regulaminu, obowiązujących na strzelnicy wojskowej, używać pocisków płaszczykowych.

§. 5. Przy strzelaniu ad I., II., III., IV. i V. daje każdy ze strzelających 5 strzałów, bezpośrednio po sobie nastepujących.

§. 6. Strzelanie odbywa się tylko z wolnej ręki, bez jakiegokolwiek punktu oparcia.

§. 7. Strzelający ad II. i III. mają dać swoje strzały w przeciągu 7 minut. Po upływie tego czasu, który oznajmi głos świstawki, strzelać nie wolno.

Strzał dany po sygnale, unieważnia dane strzelanie.

§. 8. Porządek, w jakim uczestnicy przy każdym rodzaju strzelania po sobie następują, będzie ten, w którym do właściwego rodzaju strzelania zapisali się.

Gdyby przy strzelaniu ad II. i III. wiatr zapędzał dym na linię strzelających, zapowie komitet, które skrzydło palbę rozpocznie.

§. 9. Średnica czarnego przy strzelaniu ad II. i III. wynosi 20 centimetrów, przy strzelaniu ad I. do 4 cm. — Suma uzyskanych punktów rozstrzyga o celności strzałów. Kula trafiająca dwa pola, będzie liczoną na korzyść strzelającego, chociażby pole o wyższej cyfrze tylko zaczepiła.

§. 10. Przy strzelaniu do krążków glinianych, strzela każdy raz po raz, do 5 krążków.

Do krążka chybionego wolno dublować.

Przy równej ilości krążków trafionych decyduje ilość strzałów.

Zauważy się, że każdy krążek musi być rozbity w locie.

§. 11. Jeżeli nabój nie wypali, może być strzał powtórzony.

§. 12. Strzał dany wbrew przepisom regulaminu, uważa się za chybiony.

§. 13. Przy strzelaniu do tarcz ruchomych, przedstawiających zwierzynę, wolno złożyć się do strzału przed ukazaniem się zwierza.

§. 14. Początek zapisywania się do każdego strzelania, oznajmi głos dzwonka.

§. O przyznaniu nagród, jakoteż we wszystkich spornych kwestyach, decyduje wyłącznie i nieodwołalnie Sąd rozjemczy.

W skład tego sądu wchodzą: JE. Komendant korpusu, generał kawaleryi, Karol hr. Auersperg, JE. Generał porucznik Jakobs, Generał Major Lahousen-Vivremont, szef sztabu gener. pułkownik Gerstenberger-Reichsegg, Hr. Stanisław Stadnicki, Hr. Juliusz Bielski sen., P. Tadeusz Czarkowski-Golejewski, Hr. Juliusz Tarnowski, Hr. Juliusz, Aleksander Bielski, Hr. Stefan Szembek, P. Teofil Żurowski, Hr. Stanisław Siemieński, P. Edward Münter, P. Stanisław Piegłowski.



Zapisali się w poczet członków gal. Towarzystwa łowieckiego:

Koczyński Zygmunt
Madeyski Jan
Jędrzejowiczowa Emilia.

Towarzystwo myśliwskie im. św. Huberta we Lwowie prosi nas o zamieszczenie następującej treści pisma:

Wielmożny Panie!

Wydział Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie oznajmia niniejszem, że doroczne Walne Zgromadzenie tegoż Towarzystwa odbędzie się **dnia 22. czerwca b. r. o godzinie 5. popołudniu w lokalu Redakcyi „Łowca“ przy ul. Jagiellonskiej l. 3 II. p.**

PORZĄDEK DZIENNY:

1. Zagajenie Zgromadzenia przez prezesa Towarzystwa;
2. Wybór przewodniczącego Walnemu Zgromadzeniu;
3. Odczytanie protokołu zeszłorocznych obrad Walnego Zgromadzenia;
4. Odczytanie sprawozdania z czynności za rok 1906/7;
5. Sprawozdanie komisyi rewizyjnej;
6. Ustanowienie wysokości udziałów za rewiry na r. 1907/8;
7. Uchwalenie preliminarza dochodów i wydatków na rok 1907/8;
8. Wybór prezesa, sekretarza i ich zastępców, tudzież skarbnika na rok 1907/8;
9. Wybór uzupełniający członków Wydziału (łowczych) i ich zastępców na 3 lata;
10. Wybór komisyi rewizyjnej z 3 członków i 2 zastępców na rok 1907/8;
11. Wnioski członków (§ 20 stat.) i interpelacye.

Sprawozdanie z czynności Wydziału za rok 1906/7, które razem z niniejszem przesyłamy, obejmuje wszystkie załączniki, dające jasny obraz stanu rzeczy, oraz potrzebne wskazówki w każdym kierunku; dokładne więc obznajomienie się z wszystkimi szczegółami tego sprawozdania jest rzeczą nieodzownie potrzebną.

W końcu zwracamy uwagę, że tylko ważna i usprawiedliwiona przeszkoda zwalnia członka od obowiązku osobistego jawienia się na Walnem Zgromadzeniu. Wszak kto korzysta w pełni z przysługujących mu praw przez cały sezon myśliwski — powinien bezwarunkowo raz w roku spełnić także i swój obowiązek.

W wypadku wyżej przewidzianym należy załączony blankiet deklaracyi wypełnić najmniej dwoma rewirami, mianowicie jeden luźny i jeden kniejowy. Członkowie zamieszkali za obrębem lwowskiego powiatu, mogą w miejsce luźnego, deklarować rewir kniejowy. Wypełnione i zaopatrzone własnoręcznym podpisem deklaracye, należy nadesłać pod adresem: **Magazyn broni A. Dzikowskiego we Lwowie.**

Z Wydziału Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta we Lwowie.

Lwów, dnia 8. czerwca 1907.

Sekretarz: ***Władysław Ostrowski.***

Prezes: ***Seweryn Krogulski.***

DROBNE OGŁOSZENIA I INSERATY.

Jubiler
JAN JARZYNA
poleca **wyroby złote i srebrne.**
WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.
Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.

Sprzedam tanio sztuciec podwójny express, kal. 500, znakomicie ostrzelany i tesznerkę, kal. 1, doskonale bijący z lufami stalowemi Kruppa.
Informacyi udzieli Redakcya „Łowca“.

Do sprzedania wyżeł „Gordon pointier“ bardzo piękny, bardzo dobra tresura, pierwsze pole. W. W. Lwów, plac Strzelecki 5, I piętro.

Legawiec w drugiem polu, rasy czeskiej, dobrze ułożony, za zającem nie goni, bardzo posłuszny, do sprzedania. Łobocki, Lwów, ul. Żółkiewska 68.

Kupię wyżła „Pointera“ w drugiem polu, dobrze ułożonego. Zarząd dóbr Bojary p. Dobrowlany.

Na sprzedaż jamniki dwumiesięczne, piesek i dwie suczki, bardzo rasowe. Cena 20 koron za sztukę. Dwór Milatyn stary o. p. Milatyn nowy.

Oryentalne DYWANY i strzyżone
PORTYERY, FIRANKI, KAPY, MATERYE NA MEBLE
od najtańszych do najgustowniejszych
oraz największy skład TAPET i WSZELKICH DEKORACYI POKOJOWYCH od najtańszych do najgustowniejszych (imitacya skóry, płótna, sukna, jedwabiu), których wzory wysyła opłatnie
Lwów, ul. Akademicka 2 W. ADAMSKI **Lwów, ul. Akademicka 2**

Perfumerya

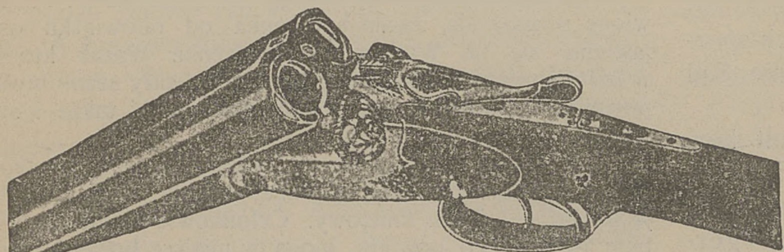
Alfred Dzikowski

Bronzy francuskie

c. k. nadworny dostawca
we Lwowie, ul. Karola Ludwika 1
poleca swą

jedyną w kraju fabrykę broni

odznaczoną na wystawach krajowych i zagranicznych najwyższemi nagrodami.



Główne zastępstwo
dla Galicyi i Bukowiny
fabryk broni
J. P. Sauera i W. Collatha

Browningi, rewolwery i floberty we wszystkich systemach i gatunkach.

Największy skład przyborów myśliwskich.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**